

N A S Z

W I D N O K R A

mieściz
dzieżyli
krzemi

nik mło-
ceum ~
enieckiego.

Prenumerujcie i rozpowszechniajcie

„O R L I L O T“

bardzo zajmujący, bogato ilustrowany miesięcznik krajoznawczy młodzieży.

Prenumerata roczna 4 zł.

**Adres administracji: Kraków, Krowoderska,
74/IIp.**

Prenumeratę można uiścić także przez zarząd naszego Koła Krajoznawczego.



OD REDAKCJI.

Głośno i wesoło w prastarych naszych murach. Wróciliśmy wszyscy po wakacjach wypoczęci, z nowym zapasem sił i energii, z głową podniesioną zajęliśmy wyznaczone posterunki i ohotnie pełnimy straż

Dziś celem wszystkich — szczęście ludzkości, poprzez szczęście narodów, poprzez szczęście jednostek, bronią zaś — myśl, jasny promień jutrzeńki, tarczą — wiedza, a spoiwem — serce.

I my dzisiaj nie możemy być obojętni na dążenia całego świata i pragniemy nie tylko zatrzymać to, cośmy krwią ojców zdobyli, lecz chcemy coś temu światu dać od siebie. Nie zwężymy horyzontu, zakreślonego cyrklem proroczego ducha naszych wieszczów jeszcze w XIX. wieku, — wszak w ich świetlanych widzeniach stanęliśmy nie obok, lecz na czele społeczeństw!..

A przecież obleczenie w szaty widzialne tęczowej idei naszych przewodników duchowych zależy od nas samych. „Idą czasy, znamieniem których będzie wyścig pracy. . .” — rzekł nasz ukochany Wódz, Wskrzesiciel Liceum.

I wkrótce, za lat parę, i my zostaniemy wciągnięci na listę budowniczych szczęścia ludzkości, to też już dziś pracujemy nad sobą, przygotowujemy się godnie do poważnego, trudnego, ale i szczytnego zadania, jakie czeka nas — przyszłych szermierzy ogólnego dobra.

Pisemko nasze ułatwiać nam powinno pracę. Umożliwia nam ona wzajemne oddziaływanie na siebie, oraz jest wyrazem naszego życia nazewnątrz. Wierząc, iż niema pośród nas egoistów, którzyby myśl lub spostrzeżenia więzić pragnęli dla swego jedynie pożytku, wzywamy całą młodzież licealną do zabierania głosu na łamach „Naszego Widnokregu“. Wzywamy wszystkich, komu pióro mocniej w garści siedzi, a słowo nie skąpi swych kształtów dla myśli, do pisania artykułów rozmaitej treści (literackie, krajoznawcze, z życia szkoły, organizacji, internatów i t. p.).

Komitet Redakcyjny i skrzynka redakcyjna czeka!

Antoni Uzułin.

L E G E N D A.

Strach padł na mieszkańców puszczy białowieskiej. Echo strzałów odbite od miljona olbrzymich pniów, obudza w nich czujność i daje znać, że jakiś śmiałek, uzbrojony w strzelby ogniem ziejące, odważył się przekroczyć granice ich królestwa i grozi śmiercią.

Tym śmiałkiem był Kazimierz Lew Sapieha, który w licznem towarzystwie myśliwych zapuścił się wgląd puszczy. Puścił charty ze smyczy i sam pędził za nimi, ale te wkrótce znikły w czeluściach lasu. Każe trąbić na psiarnię, gdzieś daleko ujadającą, lecz napróżno. Psy wciąż szczekają na jednym miejscu, nieczułe na gniew pana swego i głuche na głosy rogów myśliwskich. Zniecierpliwiony, a zarazem zaciekawiony pan, każe wszystkim udać się w stronę, skąd dochodzą ujadania nieposłusznych psów.

Ruszyli — ciekawi, jakiego zwierza tam spotkają. Początkowo konno, a potem pieszo, posuwali się myśliwi z gotowymi strzelbami do strzału. Idą — już są blisko, przygotowani do walki z najpotężniejszą bestją.

Las powoli rzednieje i wreszcie stanęli na skraju polany, na środku której wszystkie pieski zebrały się dokoła jakiegoś przedmiotu. Patrzą wszyscy ciekawie w tę stronę, lecz nikt nie mierzy, nie wydaje okrzyku podziwu, przerażenia. Ostrożnie posuwają się naprzód i... o dziwo!... Nad podniesionymi głowami psów wznosi się krzyż drewniany. Psy odpędzane, nie chcą ustąpić od tego miejsca, a gdy poczęto je smagać batami, krzyż zaczął się chwiać i zapadać w ziemię. Widząc to Sapieha, pierwszy padł na kolana, a za nim reszta myśliwych i za chwilę było słychać szepot modlitwy, bo i pieski przestały szczekać, zapatrzone w czarny krzyż dębowy. Kazimierz Lew Sapieha zrozumiał, że Bóg chce, aby stanął tu dom boży. To też każe budować klasztor, w którym osadza OO. Kartuzów. Krzyż natomiast każe zawiesić na ścianie kościoła klasztornego. Z klasztoru tylko

gruzy pozostały, ale krzyż ocalał i dziś jeszcze można go oglądać w kościele parafjalnym, znajdującym się wewnątrz murów poklasztornych.

Tak powstał klasztor Kartuzów w Berezie, a od niego Bereza stała się Kartuską.



Antoni Uzułin.

WSPOMNIENIE z POBYTU na POLESIU.

Od stacji kolejowej Błudeń do Berezy Kartuskiej prowadzi szosa drugiej klasy, długości 6-km. Idzie się nią, lub jedzie autobusem, wśród pól, zoranych w wąskie, wysokie zagony, wśród łąk podmokłych, przystrojonych w małe bukiety złotej łązy i większe kępy łasków olchowych.

Smutna, jednostajna równina, poprzecinana rowami, pełnemi czarnej wody, ściśle się dookoła, a tylko gdzieś daleko, na widnokręgu, widnieje ciemny pas: to wieniec lasów liściastych i iglastych, rozsiadłych na wzgórzach piaszczystych, które swoją tajemniczością pociągają ku sobie widza, szukającego wrażeń.

Nad łąkami, pełnemi zdradliwych okien mętnej wody, bagien, zarosłych sitowiem, unosi się krzykliwe ptactwo wodne: dzikie kaczki i gęsi, a niebrak tu także czarnych bocianów, czapli i żorawi. Bardzo charakterystycznym jest krzyk ptaka, (nazwać go nie umiem), który wciąż zatacza olbrzymie kręgi wysoko w powietrzu i przeraźliwie woła: „Hryciu! hryciu! hryciu!” Może to i jaki Hrycio, zaklęty przez czarnobrewę.

Wśród takich pól i łąk z mnóstwem stogów siana, płynie cicha Jasiołda, unosząc na łagodnych falach tratwy do Prypeci. W jej ciemnych wodach od wieków przegładają się mury klasztoru, dziś poszczerbione, z basztami, pozbawionemi dachów i smutno sterczącym ułamkiem wieży, widowym znakiem wspinałego w niedawnej przeszłości kościoła klasztorowego O. O. Kartuzów, a z kolei parafji Berezy Kartuskiej.

Niegdyś wśród tych murów snuły się białe postacie milczących zakonników. Jedyną pociechą, radą, nauką, którą mógł usłyszeć podróżny, gdy wszedł w progi klasztoru, były słowa: „Memento mori“.

Dziś wśród ruin ongiś wspaniałego gmachu panuje cisza wymowna. Poważny ton wieje z każdego kąta, nie słychać szep-tów pobożnych zakonników.

Głazy potężne, leżące w nieładzie i mury poszczerbione szepczą: „My jesteśmy świadkami czynów, hańbiących ducha ludzkiego, chwilowego zwycięstwa najeźdźcy wschodu na kulturę polską. — Widziałyśmy, gdy zamieniano w gruzy kościół, dzieło sztuki, jedynie poto, aby zniszczyć to, co polskie!“.

Całość ruin przedstawia się jako warownia w kształcie pięcioboku z pięcioma basztami, z bocznym ostrzałem na fosę i przyległe moczary. Wysokie mury obronne zachowały się dobrze od strony wschodniej i zachodniej. Od strony wschodniej w system obronny został włączony dom ks. Sapiehów, do którego wiedzie brama w stylu barokowym. Stanowiła ona początkowo główne wejście, później dopiero zamurowane. Wewnątrz obszaru, objętego murami, znajduje się wyżej wspomniana wieża wśród gruzów, zarośniętych krzewami, resztki zabudowań ze strzelnicami dla załogi, sadzawka i ogród ze wspaniałą, godną uwagi aleją lip, rówieśniczek klasztoru. Dom Sapiehy zachował piękne sklepienia. Do domu tego przytyka skromny kościółek parafjalny, który równocześnie służy za kościół garnizonowy, dokąd każdej niedzieli i święta śpieszą dziarskie kompanje podchorążych na nabożeństwo.

Data założenia klasztoru jest rok 1648. Fundatorem był znany z licznych darowizn na cele religijne i oświatowe, podkanclerzy W. K. L. Kazimierz Lew Sapieha. On to osadził w nim 50 zakonników, Kartuzów, sprowadzonych z Trewiru. Zakon ten, jedyny w ówczesnej Litwie, jako jeden z licznych odłamów kontemplacyjnych, miał za zadanie nie utrwalanie w wierze wier-nych przez nauczanie, lecz modlenie się za duszę fundatora, którego dni życia już wtedy były policzone.

Klasztor, położony na szlaku, wiodących na pn-w. przez Mińsk do Moskwy, rozbrzmiewającym ciągle gwarem wypraw wojennych, wokoło którego szumiła potężna puszcza białowiejska, zasobna w żubry i łosie, jak również i w bandy łotrzyków, żyjących z grabieży i rozboju, został obwarowany, by mógł dać schronienie ludności okolicznych osiedli w razie wojny.

Kamień węgielny położył pod klasztor sam nuncjusz papieski Jan de Tores, a w roku 1666, w dniu sprowadzenia zwłok Kazimierza Lwa Sapiehy, zmarłego w roku 1656., Aleksander Sapieha, biskup wileński, dokonał aktu poświęcenia i od tej chwili podziemia klasztoru prawie przez dwa wieki były miejscem wiecznego spoczynku dla rodziny Sapiehów, a także częściowo i Radziwiłłów.

W roku 1682. — data wyryta na bramie — został przybudowany do klasztoru dom, w którym mieszkali Sapiehowie, gdy zjeżdżali się do klasztoru celem odbycia rekolekcyj. W końcu XVIII. stulecia w murach klasztornych rozegrał się straszliwy dramat. Zakonnik Wystrzykowski morduje przeora za złamanie danego mu przyrzeczenia. Wystrzykowski i zamordowany przez niego przeor Mruczkowski byli serdecznymi przyjaciółmi od wielu lat. Przyrzekli sobie, że nigdy się ze sobą nie rozstaną i że gdyby którego z nich wybrano nawet na przeora, to ze względu na stosunki przyjacielskie, godności tej żaden z nich nie przyjmie. Stało się jednak inaczej. Po śmierci przeora, wybór padł na Mruczkowskiego i ten przyjął z radością powierzone mu obowiązki przeora.

Wówczas Wystrzykowski oburzył się okropnie: zazdrość wkłada mu nóż do ręki i każe go utopić w sercu przeora, śpiącego w swej celi. Zbrodniarz ukrywał swój postępek przez długi czas, lecz wkońcu niemogąc dłużej walczyć ze swoim sumieniem, przyznaje się do winy i każe siebie sądzić, domagając się najsurowszej kary. Winowajcę zamurowano w komorze między prezbiterjum a biblioteką. Przez otwór w ścianie podawano mu pożywienie. Nikt z nim słowa nie mógł zamienić i tak po dwunastu latach wśród męczarni ducha i ciała zmarł morderca jednego z ostatnich przeorów klasztoru Kartuzów w Berezie. Od

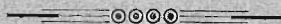
tego też czasu datuje się upadek klasztoru.

W roku 1872 dobra klasztorne zostały zabrane na rzecz skarbu, a klasztor zamieniono na kościół parafjalny. Po roku 1863, kiedy Murawiew (Wieszatiel) był panem życia i śmierci we wschodnich połaciach ziemi polskich, ucisk regijny i narodowościowy wzmógł się do najwyższego stopnia. Wynajdywano, a raczej stwarzano najblachsze powody, ażeby niszczyć kościoły, zamieniając je na cerkwie. Powód do skasowania, a następnie zburzenia kościoła poklasztornego znalazł się łatwo. Oto niektórym mieszkańcom Berezy nie podobał się ksiądz proboszcz Bernacki. Sporządzono doniesienie, w którym przedstawiono proboszcza w sposób ohydny. Prawitielstwo usunęło księdza za rzekomo niemoralne życie, a kościół bez kapłana uznało za zbyteczny. Nakazano więc parochowi prawosławnemu, Horbacewiczowi, dopilnować jego zburzenia. Zaczęły się kradzieże urządzeń kościelnych i bezczeszczenie zmarłych z rodziny Sapiehów. Rozbito trumnę Kazimierza Lwa Sapiehy, zdarto z nieboszczyka drogocenną czapkę i pas.

Widząc to polacy, starają się ratować groby swoich dobroczyńców: nocą wykradają trumny ze zwłokami z podziemi klasztornych i grzebią je na cmentarzu, znajdującym się za murami. Ale i tu nieznani sprawcy odkopali grób i skradli wieko ze srebrnej trumny fundatora, lecz tej ostatniej wydobyć nie zdołali. I dziś jeszcze w Berezie Kartuskiej są ludzie, którzy opowiadają, że Pan Bóg skarał Horbacewicza i wierzą mocno, że jako karę za jego czyny, Bóg zesłał nań wczesny i nagły skon.

Burzenie świątyni trwało bardzo długo, bo do końca XIX. stulecia. Nikt bowiem nie chciał się podjąć tej roboty po śmierci wiernego przyjaciela Horbacewicza, Sieleckiego, który spadł ze ściany kościoła w czasie burzycielskiej roboty. Po tym wypadku padł strach zabobonny na towarzystwo burzenia kościołów, dzięki czemu ocalała wieża. Miedź z dachu użyto na pokrycie soboru w Grodnie, posadzkę oddano miejscowej cerkwi, a materiał z kościoła i zburzonych domów użyto na budowę koszar. W roku 1906., gdy ucisk religijno—narodowościowy zelżał, zostało przywrócone prawo posiadania kościoła w Berezie Kartuskiej, a

dzięki pomocy materialnej rodziny Pusławskich, z której pochodziła spora liczba przeorów klasztoru Kartuzów, zostały ruiny klasztoru wykupione w „kaszacejstwie“ i zakrzątnięto się około budowy nowego kościoła, na fundamentach poprzednio istniejącego kościoła parafjalnego. Przy tej sposobności wydobyto dwie trumny, z tych jedną ze zwłokami Pawła Sapiehy, wojewody Witebskiego. Dziś cały obszar poklasztorny ma w swoim posiadaniu duchowieństwo katolickie, a obecnie dzielnie gospodarzy ks. proboszcz Kowalski, dzięki którego staraniom w roku 1927. zaczęto budować wyżej wspomniany kościół parafjalny. Jako pamiątka po wojnie polsko — bolszewickiej z 1919 — 20 roku, istnieje na dziedzińcu klasztornym grób 7-miu żołnierzy z 57 pp., którzy zginęli w obronie tej części Polski . . .



Włodysław Mróz.

PRZEKLEŃSTWO KAPŁANA.

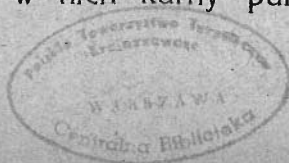
(legenda).

A kiedy z wyniosłego klasztoru posypały się pierwsze cegły, strącane ręką świętokradcy, od ołtarza powiały słowa, wyrzeczone drżącymi usty kapłana: „Dom boży domem modlitwy jest, a wyjście go uczynili jaskinią zbójców. . . Zaprawdę powiadam wam — choćbyście ostatnie kamienie fundamentów przybytku bożego wyrwali z łona ziemi i wzniesli z nich pałace dla waszych krwawych carów — daremny wasz wysiłek, bo oto przyjdą czasy, gdy na ich miejscu znów się będzie rozlegać Imię Boże. . . Wszystko przemienie, ale ono nie przemienie“ . . .

Umilkły słowa kapłana, odpowiedział im jeno szyderczy śmiech setnika, pilnującego burzenia świątyni: „Na bogów waszych mamy siłę carów“ . . .

Przeszły lata. . .

Z cegły klasztornej pobudowano gmachy koszarne. Przez długi czas przebywał w nich karny pułk wojska rosyjskiego.

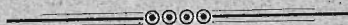


Ściany, dawne świadki Ofiary Niekrwawej, słuchały teraz przekleństw i złorzeczeń na los swój, spędzonych z dalekich stron i tu więzionych żołdatów, a nierzadko patrzyły na śmierć samobójczą oficerów.

Przeszły znów lata. . . łupieżcy pokłócili się o ziemię polską. Zagrały armaty nad Pilicą, Nidą, Wisłą, uwieźgły zimne bagnety w moskiewskich piersiach nad Jasiołdą. . .

— I oto sprawdziły się słowa kapłana. Wyleciały w powietrze bereskie gmachy koszarne, zbudowane ze zrabowanej cegły klasztornej. . .

Jesienny wiatr przeciąga po obszarach zarosłych zielskiem i chwastami, tarza się po setnych zagonach mogił żołnierskich, przygina do ziemi złociejące warkocze brzoź, zasianych ręką losu na kurhanach, przez glebę których przewierciły cienkie macki korzeni aż do kostnych wazonów piersi żołnierskich. Czasem w okiennym otworze resztki zburzonej wieży klasztornej zatrzępie się puhacz i spłynie nad lśniące w poświacie księżyca okna wodne wśród bagien, pod którymi śpią snem wiecznym zabici... Czasem jeno, gdy umilknie dźwięk trąbki żołnierskiej w oknie Szkoły Podchorążych, i świat ułoży się do snu po pracy, u ruin dawnych koszar staje na warcie postać w burym szynelu sołdackim, w której niektórzy poznają starego setnika. . .



Z e n t i .

NIEDOSZŁA WĘDRÓWKA na TAMTEN ŚWIAT.

Noc była ciemna i wietrzna. Między domy wślizgiwał się marcowy wiatr i ze złowrogim świstem ciskał białe tumany śniegu, lub cicho szemrzące strugi deszczu. To znów wiatr, odchylając poły chmurnego płaszcza, ukazywał gwiazdy, które jakby chcąc zbudzić z nocnego spoczynku ludzi, dygotały całem swoim jestestwem, napróżno nawołując ich do życia. Rzeczywiście całe miasto było pogrążone we śnie. Natomiast przed

kościółem nie pomnąc na wiatr i chłód, falował i tłoczył się do kościoła tłum ludzi.

W kościele panowała zupełna cisza, tylko od czasu do czasu z którejś piersi wydobyło się głębokie westchnienie, lub uniósł się cichy szept rozmodlonych, czasem rozległ się suchy kaszel, lub trzask karabinów przy zmianie warty, — to znów rozbrzękła moneta, wrzucona do skarbonki i rozległ się głośny pocałunek nóg Ukrzyżowanego. Wszyscy w nabożnem skupieniu oczekiwali rezurekcji.

Poszedłem i ja do kościoła. Z trudem wielkim dopchałem się do drzwi, ale dalej ani rusz. Nic nie pomogły łokcie, ani głośne „przepraszam“ tłum stał, jak mur, którego żadna siła zmóc nie może.

Nagle zaczęła mi świtać szczęśliwa myśl (aby się ona nigdy nie narodziła): „A możeby tak pójść w odwiedziny do Daltona? Wszak dziś rezurekcja“.

Brrr. ... jakież dziś przekłete zimno.

Nie! — wszystko jedno, muszę pójść, — spodziewam się, że przynajmniej nie będę stał na dworze.

Ruszyłem. Przeszedłem przez łąkę i zacząłem wspinać się pod górę. Wiatr ze straszliwym świstem dał coraz mocniej, jakby chcąc zrzucić każdego śmiałka, któryby się odważył wejść na górę o tej porze. Z trudnością czepiałem się suchych badyli i niestrudzenie lażłem naprzód. Napróżno wiatr rozpiął płaszcz, zrywał czapkę z głowy, jednak odległość coraz bardziej się zmniejszała. Wreszcie obłany zimnym potem stanąłem na szczycie.

Wkoło pustka i ciemność. Wiatr, kręcąc się między zakamarkami murów, jęczał, Bona, nakryta gwiazdzistym kloszem, nurzała się we mgłach, które otoczywszy ją ruchomym, kłębiącym się zwałem chmur, unosiły gdzieś wzwyż, ku gwiazdom.

Wtem coś zahuczało. To dzwon. .

Potem nastąpiła taka cisza, że słyszałem bicie swego serca, żyły na skroniach waliły, jak młoty kowalskie, a włosy na głowie przyjęły taką postawę, że i przed „Dziadkiem” lepszejbym nie przyjął. . .

Nagle dzwon znów się odezwał — dziś nie zapraszał jak zwykle wiernych na modlitwę, ale huczał, jakby w nim wszystkie utajone siły odezwały się, grzmiał całą swoją potęgą, zdolną obudzić wiecznie śpiących, nucił precudny hymn: „Te Deum laudamus“!

Tuż u mych nóg coś zachrobotąło i w tem miejscu, gdzie widniał ciemny otwór studni, ukazały się na wpół otwarte drzwi, prowadzące do jasno oświetlonego korytarza. Nie namyślając się długo, wszedłem do niego. Jakieś tajemnicze światło posuwało się przedemną, a ja w obawie, żeby go nie stracić, podążałem za nim. Przechodziłem przez jakieś sale, przecinałem inne korytarze, aż wreszcie stanąłem przed ładnie ozdobionymi drzwiami w rozmaite wzory matematyczne, fizyczne i chemiczne. Widząc przybitą kołatkę przy drzwiach, wziąłem zawieszony młotek przy niej i zakolałem. W tejże chwili odezwał się głos:

„Kto taki?“

„Daltonista“ — odpowiedziałem.

„Czego sobie życzysz?“

„Pragnę złożyć wizytę Daltonowi“.

Na taką prośbę drzwi się otwały i znalazłem się w obszernej sali, ładnie przyozdobionej najrozmaitszemi rzeźbami i malowidłami.

W miłym półmroku odbijał się oświetlony jakimś tajemniczym światłem tron, na którym siedział Dalton wraz z zakłą królowną.

Dalton niski, przysadkowaty, w czarnym fraku, dawał wierny obraz gentlemana XX wieku. Natomiast zakłą królowna

była wcieleniem jakiejś nadziemskiej postaci. Czoło wysokie znamionowało osobę o wielkim rozumie, twarz o rysach łagodnych i regularnych odtwarzała wiernie obraz osoby inteligentnej, z pod czarnych zaś sznurków brwi spoglądały łagodne oczy, wreszcie krucze włosy były ramką tego portretu.

Mój podziw i zdumienie przerwał Dalton:

„Aa. . . to Zenti. Witam, witam — myślałem, że już nikt nie przyjdzie“.

„Przyszliby“, — odpowiadam — „tylko dzisiaj tak pogoda wpłynęła, że nikt nie chce przyjść. Nikt zresztą Pana tak się zbytnio nie obawia, bo Pan przecież nikogo, zdaje się, nie zje“.

„Owszem“ — odpowiada Dalton — „ale tę ucztę odkładam zwykle nie koniec roku. A propos... Te włosy, — ciągnie dalej Dalton — które dęba stoją, to pewnie też nie z obawy taką postawę przyjęły?“.

„Oczywiście, że nie; — odpowiadam. Czasem tylko przy zdawaniu z matematyki podobną postawę przyjmują, ale i to pod kątem 45°, w tym zaś wypadku dla większego uszanowania przyjęły pozycję 90-cio stopniową“.

Tymczasem Dalton zaczął z innej beczki. „No! — powiada — wy już mnie znacie dobrze wszyscy, więc z kolei muszę wam przedstawić moją małżonkę Wiedzę“.

„Wiedzę?“ . . .

„Tak, Wiedzę! Nie będę tu opowiadał, jakim to się stało sposobem, bo nie mam na to czasu, zresztą pozostawiam to waszej domyślności. Teraz lepiej na inny temat porozmawiajmy“.

Więc potoczyła się rozmowa o naszym odnoszeniu się do Daltona. Zachwalałem, jak tylko mój zmysł bujania pozwalał, jednak nie zdołałem przekonać Wiedzy, gdyż zapytała: „Dlaczego Pyp — Pyp Maćkiewicz i ojciec misjonarz Fitol urządzili kampanję przeciw memu małżonkowi?“.

Zapewniałem solennie, że ci dwaj mężowie stanu założyli specjalny zakon, celem nawracania niedowiarków na daltonizm. Znow na pytanie, jaki jest ogólny pogląd na daltonizm, referuję w krótkości moją przemówkę:

„Daltonizm jest to prąd, który wywołuje głębokie zmiany tak w nauce, jak i w umysłach daltonistów. Wszyscy chorują na krętaczkę mózgową t. zw. kołowaciznę. Najbardziej uwidacznia się to przy tańcu.

Najradośniejszą i najwznioślejszą chwilą to otrzymanie podpisu. Taki szczęśliwiec po otrzymaniu tego nieszczęśliwego podpisu wylatuje z radości (o ile mu się uda wyslizgnąć Emilowi) na boisko lub do parku, a wtenczas dyrektor łapie go za kark i wpycha z powrotem do budy! . .

Otrzymanie podpisu, to postąpienie wyżej o jeden szczebel wiedzy. Dla zobrazowania jego znaczenia niech posłuży zasada, która krąży wśród daltonistów: „Mądrość mierzy się ilościem kart przez sumę otrzymanych podpisów“. Następnie: wspólna obrona (oczywiście przed Daltonem) wszystkich zespała i jednoczy, szczególnie kolegów z koleżankami. Mimo tych pięknych przymiotów, jakie posiada daltonizm, niektórym jednak podoba się bardziej zielona trawka“.

Potem pożegnawszy Wiedzę, udałem się z Daltonem do tak zwanej „Mądrości“.

Straszny to był widok!

Najgroźniejszy obraz przedstawiały dwójki. Wszystkie głowy miały pomalowane na zielono, tułów czerwony, nogi niebieskie, a ręce w białe — czerwone paski. Dwójki językowe były z powycinanemi lub z poprzekręcanemi językami, matematyczne zaś całą swoją postacią odtwarzały swoje nieszczęśliwe położenie, — przeważnie głowa miała się do tułowia, jak tułów do głowy (G: T — T: G) matematykom radzę rozwiązać. Poważną piramidę stanowiły zielono — fioletowe trójki, ładniej się przedstawiały czwórki, ale najokazalej, chociaż w małej ilości, prezentowały się brzuchate piątki.

Przypatrzyłem się swoim okazom. Maleńka piąteczka na samym spodzie piramidy smutno jakoś spoglądała, jakby skarżąc się na ciężar innych, w drugiej znów kilka czwórek spoglądało na mnie, na trójki nie zdążyłem rzucić okiem, gdyż zwrócił moją uwagę dobrze mi znany głos.

Spojrzałem — i . . . włosy mi dęba stanęły! Na wspnialej piramidzie z dwójek, na samym jej szczycie, stała moja dwójka z języka francuskiego. Otworzyła usta od ucha do ucha i zerkając na mnie, w swym głupkowatym uśmiechu szepleniła bez ustanku: „Je ne comprends rien, je ne comprends rien“.

Na taki widok zawrzała wszystka krew we mnie. „Poczekaj, ty bydlę francuskie, jak cię zaraz kropnę, to ci i rodzona Francja się przypomni!“ — to mówiąc, trzasnąłem z całej siły, aż piramida rozleciała się w kawałki.

Jeszcze nie przebrzmiały echa jęku, pisku i wrzasku, jak zostałem uniesiony jakąś niesamowitą siłą na szczyt wieży. Tuż przy mnie zjawił się Dalton. . . wzrok jego dziki, nieprzytomny, zmarszczone brwi, zacięte usta, nic dobrego nie wróżyły. Przybliżył się jeszcze bardziej, położył rękę na ramieniu, która gniołła mnie, jak stukilowy ciężar, i syknął przez zęby: „Nie umiałeś uszanować owoców swej pracy, — giń więc, potępieńcze!“ — i silnem pchnięciem strącił mnie z wieży. Instynktownie chwyciłem ręką za koniec fraka, ale i to mnie nie uratowało, gdyż oberwawszy ogon tak poważnego stroju, z zawrotną szybkością zacząłem spadać na dół.

W oczach zamigotały mi jakieś białe plamy, w piersiach uczułem okropną duszność, a uczucie braku równowagi i przedśmiertna świadomość, że za jedną sekundę trzeba będzie pożegnać świat, wierciło mi w mózgu, niczem robak, gdy chce z pod kory na świat się wydobyć.

Poczułem, że głową stuknąłem o coś twardego, w tejże chwili rozległ się jakiś przeciągły grzmot, jakby się cała wieża waliła. . .

. . . Byłem pewny, że jestem na drugim świecie.

*

*

*

... Otworzyłem powoli oczy i... o zgrozo!... — leżałem przy łóżku na podłodze, kurczowo trzymając w ręku prześcieradło, a nademną branza kolegów zanosila się od śmiechu.

„Jakim to się stało sposobem — któryś pyta — że zasnąłeś na łóżku, a budzisz się na podłodze?“.

A więc zacząłem opowiadać:

„Noc była ciemną i wietrzna. Między domy wślizgiwał się marcowy wiatr i. t. d.“ (Ciekawym radzę przeczytać do końca).



Seweryn Malwa.

P O W R Ó T.

Powracam... przyjm mnie, Ziemi, jak przyjmujesz synów,
otwórz mi swe ramiona w orle wzrosłe pióra,
choć Ci nie przynoszę przyrzeczonych czynów,
ani mocy, odzianej w królewskie purpury...

O młodzieńcze marzenia — roilem, że jak wy,
powrócę do tej ziemi, pamiętni sternicy...

Napiłem się zawodu z życiowej krynicy,
mam miast chlebem — kamieniem napelnione sakwy.

Roilem, że na czele szaleńców miliona
pokroczę nad wierchami zawieszoną kładką —
dziś się muszę w miliona szare tłumy wtłoczyć...

O Ziemi, bądź mi sędzią, lecz nie patrz mi w oczy —
dziś przychodzę, by chwilę pobyc w twych ramionach.

O Ziemi, tak jak niegdyś, bądź mi znowu matką...

Krzemieniec, dnia 29-VIII-1929 r.

J. D.

M I C H A Ł Ó W K A.

(wrażenia kuracjusza).

Od dwóch lat już istnieje nasza Michałówka, a „Widnokrąg“, ani też szerszy ogół koleżeństwa, nic o niej nie wie. Swoją drogą może nieroztropnie robię, przypominając ją wszystkim, bo gdy każdego skusi chęć poznania jej, to napewno tam miejsca zabraknie, ale pocieszam się tem, że słowa te nie wywrą na nikim wrażenia większego, nad lekki uśmieszek.

Pisanie nigdy nie przychodziło mi łatwo, a obecnie, po długich, na leżaku spędzonych wakacjach, ręka zupełnie mi odmawia posłuszeństwa, więc nic większego sobie po tym artykulu nie obiecuję.

Sam osobiście zaznajomiłem się z Michałówką w czasie tych dopiero wakacyj. Kiedyś wołałem z plecakiem po Wołyniu, czy Polesiu się uganiać, ale teraz minęły już bezpowrotnie te czasy. Wypadło trochę i poleniuchować! Przybywam więc do Michałówki. Pociąg stoi chwilkę, wysiadam, manatki do ręki i hajda do „Sanatorjum“.

Okolica cudowna. Potężny sosnowy las napelnia powietrze wonią żywiczną, świergot ptactwa ożywia go i upodabnia do krainy, przez niewidzialne istoty zamieszkałej. Z drugiej strony płaskie pole, z mnóstwem kóp zboża wszelakiego, tu i ówdzie laskiem lub wioskami, urozmaicone. Gmach, zwanego przez wszystkich Sanatorjum, leży na skraju daleko na wschód wysuniętego cypla leśnego, na niewielkim pagórku, porośniętym częściowo staremi już sosnami, częściowo zaś młodym drzewostanem, przezwanym przez nas „parkiem“.

Z mieszkańcami zaznajamiać się nie potrzebowałem, bo zebrała się tu dobrze znana „sztuba“ licealna z najstarszym wśród nas wiekiem i urzędem panem Emilem na czele. Była coprawda jedna koleżanka aż z Wołkowyska, lecz niktby tego

po niej nigdy nie poznał.

Duszą pensjonatu jest uwielbiana przez nas pani Ulanicka, która nigdy ani na chwilę o nikim nie zapomni, każdego obdarzy życzliwym słowem i nieocenionymi radami życiowymi. To też nie było, zdaje się, jeszcze dotychczas osoby, któraby o Tej Drogiej Pani nie wyrażała się z zachwytem i uwielbieniem. Jej stosunek do nas wykazuje, że zna dobrze psychikę młodego pokolenia to też życie w Michałowce wolne jest zupełnie od wszelkiego rodzaju zgrzytów i dysonansów. Wytworzona tu jest tak miła atmosfera, że człowiekowi zdaje się, iż jest w rodzinnym domu pod opieką matki. W takich warunkach wypoczywa się doskonale i nabiera się bardzo szybko nowych sił.

Tegoroczne wakacje należą niewątpliwie do bardzo przyjemnych, gdyż zgromadziło się tu ponad dwadzieścia osób od klasy IV-tej gimnazjum począwszy, na słuchaczu z drugiego roku W. S. H. kończąc. Dni były naogół do siebie bardzo podobne. O 7-ej zrana wstawanie, o 8-ej śniadanie, po śniadaniu leżakowanie, o 12-ej obiad, znów leżakowanie, o 16-ej podwieczorek, spacer — najczęściej na dworzec, o 20-ej kolacja, po której zazwyczaj jeszcze godzinę spędzaliśmy wspólnie na werandzie, poczem udawaliśmy się na spoczynek.

Jeżeli ta notatka ma mieć charakter informacyjny, nie mogę osłonić milczeniem tego, że zasadniczym warunkiem długiego utrzymania się w pensjonacie musi być posiadanie dobrego apetytu i nienajgorszego żołądka. Bez tego przepadł, jak kamień w wodzie! Jak widać z rozkładu dnia, posiłek pędzi za posiłkiem i posiłkiem jeszcze pogania. A do tego co za posiłki!

Każde śniadanie koniecznie musi być z „jajkoma na dur, lub mol“, „kluskoma“ i prawdziwą „polską kawusią“, nie zaś jakąś tam niemiecką lurą.

Obiady ukoronowane wspaniałymi leguminkami, czy też kisielkami, tak apetycznie przez Marjancja zajadanymi, a na podwieczorek najlepszy światowy przysmak-pomidory lub ogórki. Osobisty nasz stosunek do pomidorów był zdecydowanie wrogi. Zjadaliśmy ich całe tace, a czasami to nawet żywcem po-

czterech lub sześciu" odrazu. Mimo to, ku ogólnej naszej radości nigdy ich nie brakowało. O tem, jaką rolę spełniały posiłki w Michałówce, świadczy nasz własny język kulinarny, którego nawet pan wizytator Dobrowolski zrozumieć początkowo nie mógł.

Nastrojów sanatoryjno-szpitalnianych w Michałówce nigdy nie miało. Zawsze wesoły śmiech: czy to z dowcipów pana Emila, czy też z jego sprytnej dysputy z harcerczkami, czy też z innych, okolicznościowych powodów.

Wieczorami po kolacji zbieramy się zazwyczaj na werandzie, śpiewając i opowiadając o dawnych czasach. Specjalistą od tego był nasz muzyk Czesio.

Ten, gdy wpadł w humor, tak nas potrafił zabawić udawaniem głosów byłych profesorów, że niejednen z leżaka na podłogę wypadał. Przypominał nam te dobre czasy, kiedy na lekcji historii odmawiało się pacierz i dostawało się za to notę zupełnie dobrą, kiedy w gabinecie geograficznym latały aeroplany i lądowały dopiero wtedy, gdy profesor brał do rąk dziennik, przypominał hucznie obchodzony „prima aprilis“, kiedy na drzwiach internatu żeńskiego wisiał szyld. „Zakład krawiecki damski“ a na internacie męskim „Karczma“, zaś na bramie wejściowej do Liceum „Zegarmistrz Czacki“.

Jednakże dziś te dobre czasy wcale nas już nie nęcą. Nie tylko nas! Nasi maturzyści, którzy razem z nami byli w Michałówce, oświadczyli, że woleliby wstąpić do Liceum o parę lat później.

Momentem mocno radosnym był przyjazd i wyjazd naszego gościa, po którego wychodziliśmy na dworzec kolejowy oglądać tam taki ruch i gwar, że Michałówka upodabniała się zupełnie do naszej stolicy, Radziwiłłowa. Z niemniejszym krzykiem odbieraliśmy od woźnego kapryśną pocztę, która niezawsze równomiernie obdzielała nas listami.

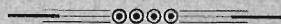
Czasem dla „odświeżenia“ się urządzaliśmy eskapady do Radziwiłłowa lub do Brodów, które wywarły na nas wrażenie

omal nie piorunujące.

Co tam niespodzianek! Na dworcu moc napisów: „nie pluć tylko do spluwaczki“. Jak to zrozumieć? Tak chyba, że w drukarni znaków pisarskich zabrakło. Dalej napis w stylu palestyńskim: „Postój podwód zabrania się. Magistrat“. U wejścia do miasta higieniczna restauracja, „ogród zdrowia“, mająca z jednej strony bagno, z drugiej zaś świńskie targowisko. Inny znów fenomen, to zakład fotograficzny „Helios“, mieszczący się w budce, podobnej do kurnika, a którego fotografie mają tę specjalną cechę, że każdy wygląda na niej, jak robotnik w kopalni węgla, na 3000 m. poniżej powierzchni ziemi.

Z osobiwości Brodów podobała nam się specjalnie słynna księgarnia Feliksa Westa, gmach „Sokoła i ...restauracja Majeranowskiego. Jednakże wyjazdy takie były bardzo rzadkie, bo pani Ulanicka tylko w ostatecznych wypadkach, jakimi jest brak lekarstw, udzielała na to zezwolenia.

Dwa miesiące pobytu w Michłowie zleciały tak szybko, jak nigdy. Towarzystwo się rozjechało, lecz należy się spodziewać, że z wielu kompanami zobaczymy się znów na Boże Narodzenie.



Włodzimierz Daniłezuk.

KRZYŻE i KAPLICZKI w POWIECIE KRZEMIENIECKIM.

Ktokolwiek choćby przypadkowo zetknął się z okolicą Krzemieńca, musiał zauważyć, że krzyże i kapliczki spotykają się tu dość rzadko i nie przedstawiają tak ciekawych i różnorodnych zabytków sztuki ludowej, jak to ma miejsce w innych dzielnicach Polski. Starych, archaicznych form zabytków nie widać dziś wcale i nie można nawet nabrać przekonania, czy wogóle tu były. W przeszłości wojny tatarskie, kozackie, a ostatnio burza światowa i najazdy bolszewickie, które dotkliwie odczuły nasze okolice, przyczyniły się niewątpliwie do obecnego

stanu rzeczy. Inaczej przedstawia się się sprawa z krzyżami i kapliczkami na starych cmentarzyskach, których w okolicy Krzemieńca istnieje kilkanaście. Tu można natknąć się na najrozmaitsze wpływy: i tak poczynając od prostych form krzyża łacińskiego, poprzez formy skandynawskie dochodzimy aż do najnowszych martwych figur, wyrabianych przez domorosłych rzeźbiarzy krzemienieckich. Jednakże ze względu na odrębność pochodzenia, temat ten zostanie oddzielnie opracowany.

Lud ruski w naszej okolicy wznosi krzyże na miejscach jakichś wypadków, przy drodze, w t. zw. punktach rozstajnych, koło cmentarzy i cerkwi. Przyczyną tego jest uczucie głębokiej skruchy lub też wdzięczności za doznane dobrodziejstwa boskie. Krzyże z narzędziami męki Chrystusowej, stawiane obok, albo też na cmentarzach, chronią ludzi od natręctwa duchów złych ludzi, na tym cmentarzu pogrzebanych. Prócz tego specjalnie w okolicy Krzemieńca, w miejscach, gdzie wytryskują źródła, znajdują się zawsze krzyże, bądź też częściej kapliczki. Wszystkie te miejsca otaczane są wielką czcią i poszanowaniem, jako dobrodziejstwa boże, zsyłane na ludzi, bo o wodę było tu zawsze bardzo trudno z powodu luźnego splekania turońskich warstw kredowych i nieregularnego krążenia wody.

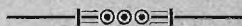
Formą najprostszą jest zwykły krzyż drewniany, na którym w miejscach krzyżowania się ramion, zawieszony jest obrazek, figura Chrystusa ukrzyżowanego, lub jakiegoś świętego. Ponad obrazkiem lub figurą znajduje się daszek albo łukowy z blachy, albo też stożkowy z drzewa. Ramiona krzyży zakończone są zazwyczaj ozdobą, składającą się z jednej lub kilku heblowanych deseczek płasko zbitych i z ostrosłupa lub kuli. Na górnym ramieniu umieszczany bywa wycięty z blachy kogut, jako symbol tego kura, który pieje, by złe duchy opuszczały powierzchnię ziemi.

Na każdym też prawie krzyżu znajdują się narzędzia męki Pańskiej: młotek, miecz, włócznia, obcęgi, drabinka i drewniana prostokątna tablica z namalowanymi srebrną farbą trzydziestu kółeczkami, będącymi symbolem trzydziestu srebrników, za które faryzeusze kupili Chrystusa. Jako wota, zawieszane są

na krzyżach ręcniki wyszywane, fartuszki i koszulki.

Kapliczki dadzą się podzielić na dwa typy odmienne, powstałe z dwu odmiennych pierwiastków: moskiewsko-bizantyjskiego i zachodniego. Pierwsze, bardzo podobne do spotykanych w każdej wsi cerkiewek, z tą tylko różnicą, że mają jedną wieżyczkę, rzadko przedstawiają ciekawsze zabytki sztuki ludowej. Drugi typ kapliczki o dachach stożkowych, przypomina bardzo żywo drewniane budownictwo mieszkalne. Na specjalną uwagę zasługują resztki dawnych kaplic na górze Osowicy w Krzemieńcu, z których zachowały się: figura drewniana św. Jana i kamień na św. Onufrego. O ich pochodzeniu nic się dowiedzieć nie da, gdyż barbarzyńska ręka Rosjan zatarła wszelkie ślady. Mimo zniszczenia widać dziś, że jest to dzieło niepośledniego artysty. Od ostatecznego zniszczenia uchronił je właściciel posiadłości, na której się znajdują, ś. p. Jakubowski, wznosząc nad niemi czterospadkowe, drewniane daszki i robiąc ogrodzenie.

U stóp góry królowej Bony, przed starą rozłożystą lipą znajduje się piękna kamienna kapliczka w formie ołtarzyka, zrobiona w ten sposób, że oszklony w drewnianych ramach obraz Pana Jezusa w Ogroju, otoczonego kamieniem miejscowego piaskowca wapnistego, którym proces wietrzenia nadał dziwne, fantastyczne kształty. Wykonana pomysłowo i efektownie, czyni bardzo miłe wrażenie.



Włódan.

III ZJAZD KÓŁ KRAJOZNAWCZYCH MŁODZIEŻW SZKOLNEJ w POZNANIU.

Trzeci Zjazd Kół Krajoznawczych odbył się w Poznaniu w dniach od 29 czerwca do 2 lipca, przy obecności około 700 krajoznawców i krajoznawczyń. Przybyliśmy ochoczo do Poznania, ażeby naocznie obejrzeć to wielkie dzieło Polski Odrodzonej, jakim jest Powszechna Wystawa Krajowa, dobitnie wykazująca

dziesięcioletnią pracę, wysiłki poszczególnych organizacji i instytucyj, oraz dzisiejszy rzeczywisty stan naszego Państwa. W tym olbrzymim gmachu Wystawy znaleźliśmy i naszą cegiełkę. Skromną coprawda była nasza sala krajoznawcza, bo z braku miejsca tylko nieliczne okazowe eksponaty tam pomieszczono, lecz widać było z różnorodności tematów i solidnego wykonania, że 10 lat pracy krajoznawczej nie poszło na marne.

Plon dziesięciolecia istnienia Kół Krajoznawczych Mł. Szk. jest bardzo obfity. Do Komisji Kół Krajoznawczych należy obecnie ponad 120 Kół o liczebności ogólnej około 2000 członków. „Orli Lot“, opracowywany przez poszczególne koła, dodaje ochoty i energii do dalszej pracy, to też zjawiają się coraz częściej artykuły krajoznawcze w piśmiskach szkolnych, lub też ukazują się oddzielne publikacje krajoznawców.

Zjazd tegoroczny niewątpliwie spotęguje zapal krajoznawczyń i krajoznawców, bo piękne i obfite we wrażenia były te cztery dni, razem w Poznaniu spędzone.

Zjazd rozpoczął się 29 czerwca o godz. 7,30 uroczystem nabożeństwem, które u ołtarza pamiętnej Złotej Kaplicy Katedry Poznańskiej odprawił ks. Inf. J. Kłos. Po nabożeństwie i kazaniu, wygłoszeniem przez ks. prof. J. Szlachtę, odbył się pełen powagi obrzęd poświęcenia pierwszego proporca Koła przy gimnazjum siódmem w Krakowie. Pięknie wyglądali delegaci kół krakowskich, wystrojeni we wzorzyste barwne stroje krakowskie, z artystycznie wykonanym proporcem na tle starej i pełnej pamiątek dziejowych świątyni poznańskiej. Koła krakowskie, które swą ilością, oraz liczebnością i jakością pracy przodują od chwili założenia innym kołom, pierwsze zdobyły się na sztandar krajoznawczy, widomy symbol miłości ziemi ojczystej.

Z kościoła pochod udał się przed gmach poznańskiego Oddziału P. T. K., gdzie p. dyr. Kilarski serdecznie powitał zjazdowiczów i zaznajomił z dziejami Poznania.

Uroczystego otwarcia Zjazdu dokonał p. dyr. Kilarski w obecności gen. Dzierżanowskiego, pp. kuratorów: Chrzanowskiego i Namysła, witając gości i nas, szczerze wypełniających salę biblioteki uniwersyteckiej. Wielkie wrażenie na wszystkich wywarła powitalna depesza, nadesłana przez J. E. ks. biskupa Bandurskiego z Wilna, w której mieściły się te głębokie a proste słowa: „Pamiętajcie, że Polska to Wielka Rzecz“. Cieszyły się i radowały nasze serca na widok naszych starszych przyjaciół i przodowników-krajoznawców i cieszyły się, kiedy o uszy nasze obijały się słowa ich przemów powitalnych, czy też sprawozdawczych, w których wszyscy stwierdzali wielkie znaczenie krajoznawstwa, planowość i dobre wyniki dotychczasowej pracy. „Ojczyzny poznanie — oto jest nasz cel“, to słowa, jakimi zakończył swe przemówienie p. prof. Węgrzynowicz, długoletni prezes Komisji Kół Krajoznawczych i redaktor „Orlego Lotu“.

Tegoż dnia o godzinie 16-tej, w sali gimnazjum im. K. Marcinkowskiego otwarto trzecią zjazdową wystawę krajoznawczą. Były tam przeważnie rysunki z zakresu budownictwa ludowego i te eksponaty, które z braku miejsca nie zostały umieszczone na P. W. K. Widać było tu systematyczną i planową pracę niektórych Kół, opracowujących szczegółowo pełne tylko działy kultury materialnej ludu.

Po zwiedzeniu wystawy w „Teatrze Szkolnym“ członkinie Koła Krajoznawczego szkół powszechnych z Włocławka odegrały „Dożynki na Kujawach“. Aczkolwiek sztukę tę opracowali i odegrali trochę mniej śmiali, najmłodsi nasi towarzysze, których stremował nieco widok szczerze wypełnionej sali i moc zainteresowanych twarzy, wywarła ona na wszystkich widzach bardzo miłe wrażenie. Cieszyliśmy się z tego tem więcej, że imprezę wykonała młodzież ze szkół powszechnych, w których dopiero w ostatnich czasach krajoznawstwo zaczyna się rozwijać.

Z „Teatru Szkolnego“ udaliśmy się wszyscy do gimnazjum pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusa, w którym Koła poznańskie przyjęły nas okazałą herbatką. Choć herbatka była bardzo dobra, a inne smakołyki, przygotowane rączkami

pięknych i gościnnych Poznanierek jeszcze lepsze, czekaliśmy wszyscy chwili, kiedy się uda z sali na dziedziniec szkolny, oświetlony tylko lampionami i w półmroku pohasać trochę swobodnie po niewygodnej podróży koleją. Wesóło zeszedł ten wieczór. Brac krajoznawcza prędko się poznała ze sobą i rozpląnęła się po całym dziedzińcu tak, że nawet ze świecą trudno było kogokolwiek znaleźć. Bo i jakże. Prawie wszyscy (a zwłaszcza koleżanki, bo koledzy jako mniej śmiali, wstydziła się trochę swoich strojów) w barwnych strojach ludowych, regionalnych, wszyscy weseli i radosni, choć niejednemu napewno po długiej podróży sen oczy zamykał i kolana się uginały — jakże tu kogo poznać? . Chociaż zabawa jeszcze trwała, mimo to z wielkim trudem zebraliśmy się „w kupkę“, aby po nieprzespanych dwu nocach wyciągnąć nieco kości na prawdziwych, słomą wypchanych siennikach. Cóż to za rozkosz po kilku dniach i nocach drzemki wagonowej! A jednak niektóre z naszych koleżanek z ogromnym smutkiem i ciężkimi, jak nasze skrzynie ze strojami i garnkami, wzdychaniami opuszczały gościnne mury gimnazjum. Coś w tem musiało być, pewnie urok ktoś na nie rzucił!

W drugim dniu Zjazdu, po mszy św., odprawionej w kościele św. Wojciecha i złożeniu wieńców u grobu Karola Marcinkowskiego, odbyły się obrady delegatów Kół, zwiedzanie ogrodu zoologicznego i P. W. K. Ten dzień, a zwłaszcza druga jego połowa była dla nas bardzo ciężka i emocji pełna, bo oto rozklejone w mieście afisze „Teatru Szkolnego“ ogłaszały wszem wobec i każdemu z osobna, a zwłaszcza nam, bezpośrednio zainteresowanym, że o godzinie 19-tej zostanie odegrane „Wesele Wołyńskie“, opracowane przez Koło Krajoznawcze im. Dr-a W. Bessera Młodzieży Liceum Krzemienieckiego! Cóż robić? Zabieramy manatki pod pachę, „meble“ na autobus i jazda do teatru. .

W miarę zbliżania się godziny 19-tej u każdego z nas wzrastała gorączka, a kiedy okazało się, że weselny nasz koro-
waj, którym zaimponować chcieliśmy krajoznawcom, jeden znajduje się w Krzemieńcu, a drugi, upieczony w Katowicach, pozostał w plecaku na Śródcie, następuje moment wysoce

napięty, a nawet dramatyczny. Niefortunni dozorczy korowajów dostaliby niechybnie koca, gdyby nie nasz drogi i pomysłowy opiekun, który wnet opanował sytuację i sporządził w ciągu jednej minuty nowy, „prawdziwy” korowaj z bułek, bibułki i kwiatków. Dzwonek przedzwonił, kurtyna się otworzyła i po krótkich objaśnieniach prezesa, zaczęliśmy „śpiwaty i bałakaty”, jak u siebie w Krzemieńcu. Co mówię... Brawa i bisy świadczyły, że pełne barwy i życia obrazy zupełnie nie przypominały naszych męczonych prób!

Po ostatnim obrazie z ogromnej uciechy, wywołanej powodzeniem, pohuściliśmy opiekuna, z ulgą na duszy pozrywaliśmy wstrętne wąsidła, spakowaliśmy manatki i powlekliśmy się do przystanku tramwajowego. Tramwaje wszystkie przepelnione, więc radzi czy nieradzi musieliśmy dreptać pieszo aż na Śródkę, dodając do tej drogi wskutek nieuwagi i przeoczenia marnych parę kilometrów. Spało się tej nocy doskonale. . .

Trzeci dzień Zjazdu należał do najbardziej może miłych i przyjemnych. Po sutości śniadaniu udaliśmy się na całodzienną wycieczkę statkiem do Rogalina, pięknej posiadłości hr. Raczyńskich. Pogoda w zupełności dopisała (był przecież z nami nasz opiekun, p. prof. Mączak) i niczem nie mąciła wesołego nastroju, jaki odrazu zapanował na barwnym od strojów statku. Zaznajomieni już na wieczornicy, zżyliśmy się ze sobą przez ten dzień tak, że wszyscy uważali nas za jedną szkołę. Statek wciąż parł naprzód, a piękne brzegi Warty szybko zmieniały wygląd. Tu nagie i piaszczyste, tam znów strome i krzewami pokryte, tu zaś u samego brzegu piękna zagroda, otoczona laskiem. O, jaki piękny jest tu nasz kraj! . . Na pokładzie gwarne rozmowy i niemilkące śpiewy: żywe krakowiaki, skoczne i ostre mazurki, przeciągłe i tęskne nasze wołyńskie śpiewki rodowite. Wszystkie twarze wesołe i rozradowane. Gwarzymy wesoło o tem, co nas, młodych, zajmuje, opowiadamy swym towarzyszom i towarzyszkom o swoich krainach, o naszym życiu, poznajemy się nawzajem, a z boku patrzą na nas rozradowane oczy naszych opiekunów i przełożonych, którzy cieszą się z tego, że nam jest tu tak dobrze. Drogi i zawsze pogodny

nasz Prezes, p. prof. Węgrzynowicz, rażno się między młodymi uwija, zabawiając wszystkich swym miłym dowcipem i ujmując wszystkich swą serdecznością. Nadaremno dobijamy się do swego opiekuna, choć na chwileczkę, którego ciągną we wszystkie strony odpowiadając nam: „wy go macie w Krzemieńcu zawsze“. Nasi naogół najwięcej „trzymają się“ z Krakowianami. Nic dziwnego! W naszych sercach nigdy nie wygaśnie pamięć o miłym i serdecznym przyjęciu, jakiego trzykrotnie już doznaliśmy w Krakowie. Marzymy tylko o tem, jak mamy się odwdziaczyć, przyjmując naszych drogich przyjaciół w swoich murach licealnych.

W Puszczykowie, — miejscowości letniskowej, — jemy obiad i około godziny 15-tej przybywamy do Rogalina. Oglądamy wspaniały pałac, największą w Polsce prywatną galerję obrazów, z Matejkowską z „Joanną d' Arc“ na czele, olbrzymi park z dębami, o kilkunastometrowym obwodzie, piękną kaplicę zamkową i wracamy z powrotem. Statek płynie rażniej i nie zatrzymuje się nawet wtedy, kiedy nasz bohaterski Józio K. na brzeg wyskakuje i nie może się z powrotem na statek dostać, choć współczującym towarzyszkom łezki w oczach się ukazują. Pocięszaliśmy zwłaszcza jedną niebogę, że „wróci Józio, wróci“ i faktycznie, gdy przybiliśmy do przystani, ten już zdala powiewał chustką. Jako przytomny młodzian użył pociągu podmiejskiego i urągając ślimaczemu biegowi statku, z triumfem otarł łezkę Krakowiance. Przy pożegnaniu mieliśmy wrażenie, że lata już się ze sobą znamy.

Nazajutrz w sali biblioteki uniwersyteckiej odbyło się zamknięcie Zjazdu. Pan prof. Węgrzynowicz przypomniał wnioski i życzenia, uchwalane na obradach młodzieży, z których najważniejsze są: aby Koła prenumerowały na każdych pięciu członków przynajmniej jeden „Orli Lot“, by tworzyć archiwa i biblioteki krajoznawcze, by Koła Krajoznawcze zapisywały się na członków Ligi Ochrony Przyrody, by wszystkie Koła wspierały się nawzajem, n. p. abonując „Nasz Widnokrąg“, kupując do biblioteki prace Koła z Wilna i by po skończeniu szkół abiturjenci zapisywali się do P. T. K. czy też „Akademickich

Kół Krajoznawczych“.

Wnioski te jednogłośnie przyjęto, poczem Pan Węgrzynowicz w serdecznych słowach podziękował wszystkim, którzy przyczynili się do tego, że Zjazd wypadł tak imponująco i prawie cała młodzież krajoznawcza mogła zobaczyć P. W. K., dzieło Nowo-odrodzonej Polski! . Do nas się zwrócił ze słowami: „Poznaj swój kraj i ojczyznę służ“, zapowiadając zarazem, że w roku przyszłym Zjazd odbędzie się w Krzemieńcu. W imieniu Komitetu Wykonawczego zagnała Zjazd p. dr. Hoppówna, a następnie przemawiał p. dyr. Zapaśnik, odczytując treść telegramu od Zjazdu do ks. biskupa Bandurskiego, zachęcając młodzież do dalszej, wytrwałej pracy i życząc, by rozleciawszy się teraz po całym kraju, na rok przyszły, zleciała się w Krzemieńcu. Odśpiewaniem „Jeszcze Polska nie zginęła“ zakończono trzeci Zjazd.

Niebawem zaczęto się rozjeżdżać. Piekne chwile przeszły już do pamięci, lecz z niej nigdy nie wylecą. Jakże często Zjazdowicze o nich wspominają. Wszak od Zjazdu krakowskiego i wileńskiego dużo czasu już upłynęło, ale jednak po dziś dzień wspomnienia tych chwil żyją w pamięci.

Spotykałem w czasie wakacyj krajoznawców z innych Kół Krajoznawczych. Cieszyli się wszyscy z tego, że za rok zbierzemy się w drogim dla każdego Polaka grodzie Słowackiego. Rozpamiętywaliśmy wspólnie przeszłe chwile, a gdyśmy się żegnali, usłyszałem słowa: „Szczęść Wam, Boże, w tej pracy, która ma stworzyć w czasie Zjazdu w Krzemieńcu taką atmosferę, jaka była w Wilnie, Krakowie i Poznaniu!“.

Pamiętam moc radosnych listów, któreśmy otrzymali od Kół, gdy w „Orlim Locie“ zamieszczono nasze zaproszenie na Zjazd do Krzemieńca. . . Wyteźmy więc siły i chwycmy się mocno za ręce! . Młodzieńczym entuzjazmem usuńmy wszystkie przeszkody, jakie się nam nasuwają, nie pożałujmy sił i pracy dla okazania piękna naszej idei krajoznawczej! Nie jesteśmy sami. Dopomagają nam nasi opiekunowie, profesorowie i wychowawcy. Więc dalej z miejsca i do pracy!...

K R O N I K A . .

1. Przed rozpoczęciem roku szkolnego odbyła się wycieczka II-ej grupy młodzieży Licealnej na P. W. K. do Poznania, która trwała od 24-go do 29-go sierpnia. W wycieczce tej wzięło udział 84 osób. Program tej wycieczki był taki sam, jak i pierwszej.

2. Rok szkolny rozpoczął się w Liceum dnia 8-go września nabożeństwem w kościele Licealnym, poczem wszyscy udali się do sali Kolumnowej, gdzie nastąpiły przemówienia p. p. wizytatorów: Poniatowskiego i Dobrowolskiego. Oprócz tego p. Wizytator Dobrowolski przedstawił zebranej młodzieży grono nowych profesorów, rozpoczynających w Liceum pracę.

3. Dnia 15-go września odbyło się Walne Zebranie Koła Krajoznawczego, na którym dokonano wyboru nowego zarządu i zatwierdzono plan pracy na rok szk. 1929/30.

4. Dnia 21-go września Liceum urządziło święto sportowe, w którym wzięła udział młodzież licealna i drużyna z Łucka. Ta ostatnia wynikami swemi okazała wysoką sprawność fizyczną.

5. Liceum miało zaszczyt gościć u siebie przez parę dni profesorkę uniwersytetu w Cambridge, p. Onslow, która wraz ze swą matką zwiedza Polskę. Paniom tym towarzyszył p. Korczewski, profesor Wyższej Szkoły Rolniczej w Warszawie. Dnia 30 września nastąpiły przemówienia p. wiz. Dobrowolskiego, oraz p. Onslow w języku angielskim, które przetłumaczył nam na język polski p. Korczewski.



Seweryn Malwa.

Z Cyklu p. t.: „DŁONIE W MROKU“.

Dawno wyszedłem stąd, dawno,
nie wczora, ani nie przed rokiem—
Pustą się dziś wlekę ulicą
i pukam nieśmiało do okien.

Ciemno — czasami na szybach
krwawy się płomień rozbłyska...
Otwórzcie, niech się ogrzeje
w ciepłe waszego ogniska!

To ja, otwórzcie mi ludzie,
czyżbyście mnie nie poznali?
— u ognia blaskiem się nasycę
i pójdeł sobie w świat dalej...

To ja, co od was za młodu
na obce pusiłem się morza —
czasami żebrak w łachmanach,
czasami w jedwabiach doża.

Do ognia puście mnie ludzie,
niech się choć chwilę pogrzeję
— to ja, co ze zgrzebna powrozem
związałem z nicością nadzieję...

Czyż winny-m, że powróż przegryzły
łzy ludzkie, czy morskie wody—
rozpadł się... Puście mnie, puście—
Wierzący byłem, bo młody...

— — — — — —

Dłonie-m swe pokrwawił o szyby
i wlekę się pustą ulicą,
a w duszy ogromnie mi płacze
i wije się w łkaniach nicość...

A P E L.

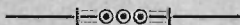
Już piąty rok wychodzi nasze pismo szkolne. Dużo się zmieniło od tych chwil, kiedy to odbijaliśmy je po nocach na hektografie. Jego dawni redaktorowie i współpracownicy rozproszyli się po całej Rzeczypospolitej, bądźto niosąc oświatę do ludu, bądź też przygotowując się do pracy na wyższych uczelniach.

My dziś, w rękach których spoczywa to wydawnictwo, przez Was zapoczątkowane, znani i nieznani nasi koledzy, zwracamy się do Was z prośbą o kontakt z nami. Jakże miło nam będzie, gdy nas zasilicie wiadomościami o Waszym życiu, jakże miło nam będzie, gdy i Wy weźmiecie udział w podniesieniu jego poziomu, tak przez poparcie moralne, jak i materialne. Zwracajcie się do nas z uwagami, jakiem chcielibyście je widzieć, chętnie uwzględnimy Wasze słuszne żądania.

Niechaj wiemy, że nie zapomnieliście o nas i o Liceum, z którego wyszliście. Wzorem dla nas i dla Was niech będą dawni uczniowie licealni, którzy nawet na obczyźnie umieli się odnaleźć i związać trwałym łańcuchem szczerej przyjaźni, którego każde ogniwo dzwoniło: „KRZEMIENIEC — LICEUM“...

Czekamy, co Wy powiecie na to — i mamy nadzieję, że nienapróżno.

R E D A K C J A.



O G Ł O S Z E N I A.

TEATRALNY KURS KORESPONDENCYJNY DLA KIEROWNIKÓW I REŻYSERÓW.

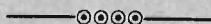
Związek Teatrów Ludowych w Warszawie, ul. Tamka 1, od szeregu lat otacza wszystkie teatry niezawodowe troskliwą opieką artystyczną. W tym celu między innymi prowadzi stale i systematycznie krótkoterminowe kursy instruktorskie.

W obecnym roku organizuje specjalny kurs teatralny korespondencyjny dla kierowników i reżyserów teatralnych.

Kurs ten ze względu na swój system staje się dla wszystkich dostępny, nie odrywa bowiem nikogo od codziennych zajęć i nie zmusza do wyjazdu, a zapewnia zdobycie potrzebnych wiadomości teatralnych.

Program kursu obejmuje wszystkie przedmioty teoretyczne i praktyczne z zakresu teatrologji.

Czas trwania kursu przewidywany przez 8 miesięcy. Szczegółowy prospekt na żądanie, wysyła Związek Teatrów Ludowych. Warszawa, ul. Tamka 1.

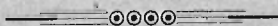


Wyszła z druku broszurka p. t.: „Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych wykonawcą polityki ubezpieczeniowej“.

Autor broszury omawia: cel i zadania Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych, jego charakter, powiązanie działalności jego z działalnością wojewódzkich związków samorządowych w zakresie przymusowych ubezpieczeń budowli od ognia, społeczną rolę przymusowych ubezpieczeń, wpływająca z tendencji tychże do wyrównania opieki nad słabszymi ekonomicznie, wyższość ze stanowiska korzyści ubezpieczeń przymusowych nad dobrowolnymi, zadania i wyniki dotychczasowej działalności samorządów powiatowych w zakresie ubezpieczania ruchomości rolnych, moralno — wychowawcze znaczenie ubezpieczeń opartych na wzajemności zrzeszonych w organizacji ubezpieczeniowej jej członków, t. zw. ryczałtowy system ubezpieczeń ruchomości rolnych i korzyści, jakie system ten przedstawia dla ubezpieczonych, oraz taryfową politykę Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych,

Broszurę cechuje jasny i zwięzły wykład.

Broszura ta znajduje się w redakcji.



Ten, komu rozwój K. K. M. P. T. K. leży na sercu, powinien prenumerować jego własny organ

„O R L I L O T,“

miesięcznik, w którym zamieszczane są prace Kół Krajoznawczych Młodzieży Szkolnej. Jest to najpoczytniejsze pismo kra-

joznawcze wśród młodzieży i starszych, którzy zajmują czynne stanowisko wobec życia.

Obok ciekawych artykułów z dziedziny kultury materialnej i duchowej naszego ludu, dużo miejsca zajmują ilustracje, obrazujące omawiany materiał.

Pismo to powinno się znaleźć w każdej organizacji społeczno-oświatowej, szczególnie zaś w rękach tego, komu nie obcą jest idea krajoznawcza.

Niska prenumerata udostępnia każdemu korzystanie z tego naprawdę pożytecznego pisma.

ADRES REDAKCJI: Kraków I. Krowoderska 74. II. p.

U W A G A.

Numer ten wydajemy w zmienionej szacie zewnętrznej. Stary drzeworyt, ongiś chluba nasza, zwyczajną koleją rzeczy poszedł na emeryturę do archiwum i patrzy z dumą na swoją dokonaną, kilkoletnią pracę.

Miejsce jego zajęła płyta cynkowa, wykonana we Lwowie, według projektu członka Koła Krajoznawczego, ucznia VII kl. gimn., Wołkowicza Bronisława. Uważamy, że miejsce to zajmie ona godnie i wskutek tego nasze pismo przyjmie bardziej estetyczną i miłszą szatę.

Przy tej okazji składamy serdeczne podziękowanie koledze Wołkowiczowi, którego winietę wybraliśmy do druku, a który zawsze chętnie i z zapałem wszystkie propozycje i projekty wykonuje i stale wzbogaca zbiory Koła Krajoznawczego swemi
p r a c a m i.

R E D A K C J A.



DRUKARNIA

„S T A W A”⁶⁶

KRZEMIENIEC, UL. SZEROKA 76.



**W Y K O N Y W A
W S Z E L K I E R O B O T Y
W Z A K R E S D R U K A R S T W A W C H O D Z A C E.**

WYKONANIE STARANNE I SOLIDNE.

— C E N Y K O N K U R E N C Y J N E . —

I-81p

CENA ZESZYTU 80 GR. DLA MŁODZIEŻY 40 GR.

Adres administracji: Koło Krajoznawcze im. D-ra Wilbalda Bessera
Młodzieży Liceum Krzemienieckiego.

Wydawca: Koło Krajoznawcze D-ra Wilbalda Bessera Młodzieży Liceum
Krzemieńskiego, pozostające pod opieką prof. Franciszka Maczaka.

Redaktor Naczelny: STECIUK, ANATOL.
